

KATARZYNA
ZYSKOWSKA-IGNACIAK
NIE LUBIĘ
KOTÓW



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

© Copyright by Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”,
Warszawa 2014
Text © copyright by Katarzyna Zyskowska-Ignaciak, 2014

Projekt okładki i layoutu serii *Katarzyna Borkowska*
Zdjęcie na okładce © Carlo A/Moment/Getty Images/Flash
Press Media

Konsultacja medyczna *dr Łukasz Zyskowski*

CZĘŚĆ I

Archetyp

Ostre światło poranka wpada do środka wraz z odgłosami ze Stresemannstraße. Mimo że mieszkanie jest oddalone od głównej ulicy i jak zapewniał pośrednik nieruchomości, ma gwarantować pełen komfort, to przy otwartym oknie nie da się spać. Huk samochodów dociera tu o każdej porze dnia i nocy. Jednak stare niemieckie kamienice podobno warte są wysokiej ceny. Odrestaurowane z niemieckim pietyzmem, dają poczucie luksusu. Prestiż na wynajem.

Wojtek zerka nieprzytomnym wzrokiem na wyświetlacz komórki – dopiero pięć po szóstej. Mógłby pospać jeszcze pół godziny, ale wie, że przez to cholerne dudnienie już nie zdoła zasnąć. Dudnienie wychuchanych mercedesów, mknących za oknem, i to w głowie – zbyt uporczywe, przypominające o samotnie wypitym wczoraj wieczorem bordeaux. Sfermentowany sok dojrzewa teraz boleśnie w głowie, niczym winorośl na zwirowych glebach wokół Żyrondy.

Wojtek mocno zaciska oczy, żeby powstrzymać helikopter w ogniu kaca. Z ociąganiem wygrzebuje się z wymięlanej pościeli, noszącej żółtawe ślady nocnych polucji. „Greta i tak ją dzisiaj zmieni” – myśli, niedbale zakrywając stygmaty samotności. Sprzątaczką przychodzi co piątek, kiedy on znajduje się gdzieś nad Berlinem, w samolocie powrotnym do Polski.

W samych bokserkach staje w oknie. Drapie się po wydatnym brzuchu, przeciąga, rozkłada szeroko ręce. Tutaj, w Hamburgu wiosna rozkwita wcześniej niż w Warszawie. Drzewa, mimo że jest dopiero maj, są już intensywnie zielone. Sąsiadka z naprzeciwka (ta, która nigdy nie zasłania okna, przyjmując kolejnych kochanków) ustawiła na balkonie kwiaty. Namiastka prawdziwego domu. Kwitną radośnie, kolorowo, wbrew niemieckiej kindersztubie, w wegetacyjnym uniesieniu, na przekór chłodnym wiatrom znad Morza Północnego.

Wojtek lubi zaglądać w okna kamienicy naprzeciwko. Nie z powodu kwiatów, oczywiście, raczej ze względu na tamtą kobietę. Niemłodą, lecz zadbaną i najwidoczniej pewną siebie, bo często paradującą nago; która na śniadanie jada sałatę, a na obiad porami skóry wciąga botos. Ma południową urodę. Może to Hiszpanka, a może Włoszka? Jest coś bezpruderyjnego, radosnego w ruchach jej dojrzałego ciała – wrodzone poczucie wolności? Sąsiadka nie nosi, w przeciwieństwie do Wojtka, cieniowej korony wschodnioeuropejskich kompleksów, ale bardzo prawdopodobne, że tak jak on jest w Hamburgu tylko na chwilę, gościnnie – w niegościnnym niemieckim otoczeniu. Niemal przy całej Mistralstraße mieszkają obcokrajowcy. Tymczasowi niewolnicy międzynarodowych korporacji, których wiatr wraz z szumem euro zawiął aż tutaj. Większość przebywa tu bez rodzin, rozdarta pomiędzy stęsknionymi dziećmi, zostawionymi w kraju, a karierą. Między osamotnionymi żonami a dziwkami z osławionej hamburskiej dzielnicy czerwonych latarni – żaden facet na dłuższą metę nie pojedzie na ręcznym. Można wytrzymać życie z dala od znajomego ciepłego

ciała rok czy dwa, lecz później każdemu w końcu odbije. I przez łóżka zakontraktowanej kadry menadżerskiej przetaczają się albo dziewczynki, albo koleżanki z pracy czy jak w przypadku sąsiadki z naprzeciwka mięso wyrwane na jedną noc w którymś z nocnych klubów.

Wojtek nie korzysta z usług prostytutek, nie chadza do barów, jest po chrześcijańsku monogamiczny. No, prawie: monogamiczny tu i monogamiczny tam. Nie ma siły na ekscesy, życie nocne. No i szkoda mu pieniędzy na sponsoring, choć wciąż młode ciało domaga się seksu częściej niż raz w tygodniu. Częściej niż tylko w weekend, gdy Malina zrelacjonuje mu wreszcie swoje życie bez niego, gdy już położą Piotrusia do łóżka.

Oczywiście, kocha żonę – tak jak należy kochać żonę. Jednak czasem się zastanawia, kiedy przeszli z fazy miłosegno wrzenia wprost w objęcia prozy życia, a podobnie nostalgiczne myśli nachodzą go teraz już tylko po pijaku. Na początku było ciężko. Rozłąka, chłód pustego łóżka w obcym mieszkaniu, cisza grająca w uszach, obce twarze w pracy i na ulicach, ostry wszechobecny niemiecki szwargot. Zdarzały się wieczory, że z tęsknoty krzyczał w poduszkę, ale nie płakał. Płacz to luksus zarezerwowany dla kobiet. Krzyczał więc, a później na uspokojenie wypijał lampkę wina. I kolejną. Ból samotności ustępował miejsca zobojętnieniu. W końcu był na zawodowym szczycie, całe życie na to czekał. Co miesiąc na koncie pojawiała się kwota rekompensująca samotność z nawiązką, więc po co te nerwy? Szybko doszedł do wniosku, że jego czasowa nieobecność w rodzinnym zaciszu, abstrahując od pieniędzy, uchroni ich od rutyny.

Teraz już prawie w ogóle się nad tym nie zastanawia. Nie ma czasu po tyłku się podrapać, a co dopiero jakieś egzystencjalne głupoty. Tak musi być. Tak jest dobrze. Dla nich? Dla niego?

Malina chyba też się pogodziła, że widzą się tylko przez dwa dni w tygodniu. Zresztą to przecież dla niej zdecydował się na tę pracę. I dla Piotrusia. Hamburg to nie koniec świata, no i w Polsce zarabiał mniej. Niemało, ale mniej. A potrzeby rosły. Anglojęzyczne przedszkole dla dziecka, które kosztuje więcej niż roczne dochody polskiego emeryta. Nowy samochód dla Maliny, żeby mogła dzieciaka wozić, dobry samochód, ponieważ tylko takie parkowały pod prywatnym przedszkolem. W Polsce nie miał szans na awans. Szef był okropnym kutasem. Gównu wiedział o zarządzaniu ludźmi i produktach i tylko windował plany sprzedażowe. Pod koniec kwartału na spotkaniach działowych poklepywał swoich pracowników po plecach, niby to po przyjacielsku. I z idiotycznym uśmiechem powtarzał: „Cyfra, cyfra, kochani, pokażcie mi cyfrę. *Show me the money*”. Kurwicy można było dostać. W marketingu jest spokojniej niż w sprzedaży, więc gdy pojawił się wakat w tym dziale, postanowił uciec. Awans wiązał się z wyjazdem za granicę – zachodnią! – a to nieźle brzmi. Kumplom można było zaimponować i teść zaczął na niego patrzeć przychylniej. Pensja w „juro”...

Tylko Malina miała pewne wątpliwości. Nie chciała z nim wyjeżdżać, bo przedszkole, bo koledzy Piotrusia, dopiero co zmienili mieszkanie, więc szkoda wynajmować, bo hołota zdewastuje nowe podłogi. No ale Hamburg...? Wojtek bezsprzecznie powinien przyjąć tę propozycję. Musiałby być idiotą, żeby ją odrzucić. No to przy-

jął. Myślał, że przezimuje rok lub dwa i wróci na lepsze stanowisko w polskim oddziale, może nawet wygryzie tego kretyna dyrektora...

Tak wyglądały plany trzy lata temu. Dziś już wie, że nie wróci przez kolejny rok, a być może kontrakt zostanie przedłużony na następne lata. Wtedy na pewno pomyśla z Mali, by jednak przeniosła się tutaj z dzieckiem. Tak, wtedy o tym pomyśla. Mały nauczy się niemieckiego, pozna trochę świata. Tylko co Malina będzie tu, u licha, robić? Pewnie to samo co w Warszawie – odegra rolę perfekcyjnej pani domu. W tym jest przecież najlepsza.

Wojtek idzie do łazienki. Nieskazitelne wnętrze wygląda jak z katalogu. Całe mieszkanie wydaje się bezduszne, wyjałowione, pozbawione osobistych artefaktów niczym hotelowy pokój. Niby kto miałby tu zrobić bałagan? On co rano rusza do biura, wraca około dwudziestej. W piątek prosto z pracy jedzie na lotnisko. Ląduje w Warszawie po dwudziestej pierwszej. Wchodzi do domu, kiedy syn kładzie się spać. W drzwiach wita go uśmiechnięta żona. Kolacja, świece, wszystko w idealnej harmonii. Zapachy dobiegające z kuchni. Sztuczne uśmiechy, rozmowy pozbawione głębi. Od czasu do czasu rytualny małżeński seks, nieco nudny i schematyczny. Przez dwa dni bawią się w rodzinę. Udają, że więzi wcale nie zostały nadwątlone, że wszystko jest jak dawniej. Jak dawniej...

Nic nie jest jak dawniej. Chociaż może tylko on to dostrzega? Może Malinie ten układ odpowiada, przecież nigdy się na nic nie skarży. Zawsze wypoczęta, uśmiechnięta. Niby taka sama jak na początku ich małżeństwa. Niby...

Później, w niedzielę pod wieczór, Wojtek znowu wsia-
da w samolot. Słońce umyka za horyzont, a on ląduje
w Hamburgu. Od poniedziałku znów wpada w kierat...

Dość tych myśli. Szybki prysznic, pakowanie teczki,
zamówienie taksówki, kawa. Nie powinien nic jeść, odkąd
zamieszkał w Niemczech, przytył piętnaście kilo. Obrósł
w tłuszcz dobrobytu. Wyhodował drugi podbródek, *pol-
nische Schwein*. Malina gdera, więc obiecał, że schudnie.
Jednak nie jest lekko. Służbowe lancze i samotne wie-
czory, podczas których szuka zapomnienia w jedzeniu.
Albo kolacyjki z klientami i hotelowe żarcie w trakcie de-
legacji. Kiedyś trochę biegał, teraz mu się nie chce. Do-
brze, że przynajmniej zrezygnował z piwa. Wino mniej
wzdyma i podobno zdrowe. Chociaż może samotne picie
jednej butelki dziennie to przesada?

Koszula, idealnie skrojony garnitur, znieawidzony
uniform codzienności. Do tego jedwabny stryczek krawa-
ta pod szyją. Dżinsy i koszulka to luksus weekendu –
Wojtek wrzuca je na dno walizki. Niewiele rzeczy wozi
do domu. Nie ma sensu targać wszystkiego w tę i z po-
wrotem. Umówił się z Gretą, że za dodatkowe sto euro
będzie prała jego gacie i prasowała koszule. Jedną szafę
ma tutaj, drugą w domu, dlatego bagaż podręczny w zu-
pełności mu wystarcza. Zabiera jedynie kilka osobistych
drobiazgów, a resztę walizki wypełnia na lotnisku perfu-
mami i kremami z wołnoćłówki dla Maliny i żelkami dla
Piotrusia, chociaż ona się piekli o te słodyczne, bo „dzieci
obecnie takie grube”.

Taksówka w kolorze budyniu waniliowego mknie
przez zalane słońcem ulice, wzdłuż których wyrastają
ciągi zadbanych kamienic przetykanych dobrze wkompo-

nowaną nowszą zabudową. Wszystko wokół jak z folderu, jak z idealnie skadrowanej pocztówki. Czyste chodniki, równo przycięte trawniki, szpalery zieleniących drzew, połyskująca w kanałach woda. Zero syfu, psich gówien, miejskiego kurzu, oznak biedy i zaniedbań, tańczących na wietrze papierzysek czy wdeptanych w trotuar kiepów. *Ordnung muss sein!**

Czerwone. Taksówkarz hamuje przed światłami.

Wojtek patrzy przez okno. W samochodach obok podobni jemu sztywni krawaciarze, zakładnicy kapitalizmu. O tej porze poranka tylko kadra menadżerska, jadąca limuzynami do pracy, zażywa witaminy D. Wyrobownicy i szaraki niższego szczebla jak szczury tłoczą się pod ziemią w splecionej siatce metra. Dopiero za jakiś czas ich zgębiona masa wyleje się z kanałów na powierzchnię ulic, na razie panują tu tylko ich szefowie, współcześni bogowie, możnowładcy świata mamony. Wszyscy w podobnych, równo skrojonych mundurkach, każdy z droгим gadżetem w dłoni. Uzależnieni od informacji, siedzą rozparci na skórzanych kanapach swoich wozów i śledzą na supernowoczesnych tabletach i smartfonach poranne newsy, kursy walut oraz notowania giełdowe. Zawsze są online, jakby w mózgi na stałe wszczepiono im moduły 3G. Jak cyborgi, bez względu na porę dnia i nocy odbierają mejle, mają dane, analizują statystyki.

Zielone.

Taksówki i limuzyny z szoferami mkną dalej, do swoich biur, na spotkania zarządów, by pod pozorem naprawy świata i wzrostu PKB napychać prywatne kabzy.

* Ordnung muss sein (niem.) – porządek musi być.

Wojtek już dawno wyzbył się złudzeń.

Gdy zaraz po studiach przyjęto go do firmy, głęboko wierzył w jej górnolotne credo. W hasła tryskające optymizmem. W nowoczesny sprzęt do laparoskopii. Oczyma wyobraźni widział uzdrowienie polskich szpitali, skrócone procedury operacyjne, zadowolonych pacjentów, którzy zamiast zostać rozplątani skalpelem na pół, będą uleczeni przez dziurkę. Nieinwazyjnie, bezkrwawo. Laparoskopowo! Współczesna medycyna brzydzi się krwi i smrodu flaków. A jego korporacja fundowała ludzkości nową jakość i nieskazitelną skórę bez blizn. Więc jeździł po całej Polsce i opowiadał lekarzom o cudownych produktach, czarował, zachęcał, doszkalał z nowych technik. Niczym mantrę recytował formułkę: „Milion złotych, wysupłany przez szpital na ten oto kosmiczny sprzęt, zwróci się z nami, wprowadzi was w dwudziesty pierwszy wiek”.

Został posłańcem dobrej nowiny. Pragnął zbawienia służby zdrowia. Był dumny z zapoczątkowanej przez korporację rewolucji i ze swojego w niej współdziałania. Stał się częścią systemu odnowy, transformacji. Globalne wyniki koncernu wydawały się wyłącznie produktem ubocznym jego tytanicznej pracy u podstaw. Niewiele znaczącym elementem wysoce humanitarnych działań. A że przy okazji słupki sprzedaży rosły, konta się zapełniały...? Dopiero później zaczął rozumieć prawdziwe mechanizmy rządzące branżą, lecz wtedy był już wiernym żołnierzem firmy, głęboko uwikłanym w jej struktury.

Oczy szeroko zamknięte otwarto mu brutalnie – porannym waleniem do drzwi. Malina spała z małym Piotrusiem w drugim pokoju, to był czas, kiedy jeszcze karmiła. Irytujący, bezpardonowy łomot wyrwał go ze snu. Zwlókl

się z łóżka i poczłapał do przedpokoju. Był rozdrażniony niezwykłą pobudką, ale spokojny. Może to jakaś awaria na osiedlu? Otworzył drzwi.

I wszystko potoczyło się jakby poza nim, jakby oglądał zwolnione kadry filmu akcji. Faceci z bronią, w czarnych bojowych mundurach i ciężkich buciorach, ze świecącym w półmroku holu alfabetem na plecach: CBA. I ten krzyk:

– Na ziemię, kurwa, kładź się na ziemię, nogi szeroko, ręce na plecy!

Jeden ruch ściągający go do parteru. Płacz Piotrusia, przerażone oczy Maliny, która wypadła na korytarz w koszuli nocnej z dzieckiem na rękach. Jej zdumiony, błagalny głos:

– Panowie, to jakaś pomyłka!

– Jaka, kurwa, pomyłka?! Wojciech Lasota?!

Dotyk zimnego gresu na policzku i czyjeś kolano przyniatające go do podłogi.

– Pytam, czy nazywasz się Wojciech Lasota?!

– Tak, to ja – wycharczał wprost w grafitową fugę.

– Jesteś zatrzymany.

Chłód kajdanek zacisnął się na nadgarstkach. W powietrzu wibrował coraz głośniejszy płacz niemowlęcia.

– Panowie – to był głos Maliny – ja jestem prawnikiem. O co tu chodzi? Mój mąż nic nie zrobił.

Drab, stojący na szeroko rozstawionych nogach – pewnie szef – uśmiechnął się cynicznie, patrząc, jak jego koledzy podciągają zatrzymanego niczym marionetkę do pionu.

– Czy pani mąż jest pracownikiem firmy „X”?

– Tak, ale...

– Tutaj mam nakaz. Zabieramy go na przesłuchanie. Przesłuchanie?!

Później nastąpił ciąg zdarzeń, które Wojtek pamiętał jak przez mgłę.

Łuszcząca się farba na ścianach korytarzy prokuratury, wielogodzinne wyjaśnienia w dawno niewietrzonym pokoju urządzonym meblami na wysoki połysk z czasów Gierka. Słowo: „korupcja”, rzucane przez kogoś co chwilę i wibrujące w jego głowie. Docieklive pytania. Morze pytań...

– Łapówki lekarzom dawałeś? Ty malwersancie na sznurku zachodniego kapitału! W formie pieniężnej, za lewe faktury? Inne sposoby nacisku: sponsorowane wyjazdy dla lekarzy do Chin, do Meksyku. Niby na konferencję, a jednak na rodzinną wycieczkę, co? Kto wydawał dyspozycje, jakie były wytyczne, jak długo trwał proceder?

Pytania przepływały przez jego głowę i pozostawały bez odpowiedzi. Daty, nazwiska, spotkania. Kasa, cyfry, konta.

Jestem niewinny.

Niewinny!

Błogosławieństwo niewiedzy szeregowego pracownika. Nikogo nie przekupił, nie namawiał, nie mamił wizją osobistych korzyści. Działał moralnie, w poczuciu misji. To po prostu dobry sprzęt. Medyczna rewolucja, do kurwy nędzy! Czy w tym zaścianku Europy nikt tego nie rozumie?!

Dwie bezsenne noce w zawilgoconej celi. W samotności. Z głową pękającą od wątpliwości i strachu. Nigdy nikogo nie przekupił. Nigdy. Tylko raz, w dziewięćdzie-

siątym czwartym jako szczeniak – kanara w tramwaju linii trzydzieści trzy. Ile lat za to posiedzi?

Nie opuszczały go okrutne wizje: Malina, mały Piotruś i wyrzucane wstydliwie w przyszłości słowa: „Mój tatuś siedzi w pudle”. I strach, wszechogarniający strach. Twarda prycza, śmierdzący stęchlizną koc, sikanie w brudny kibel i jedzenie podłego żarcia w areszcie, które później zwracał w nerwowych konwulsjach – to wszystko miało go zmiękczyć. A przecież nie da się wycisnąć suchej gąbki. Chyba tamci za biurkami też to w końcu zrozumieli, ponieważ po dwóch dobach został wezwany do jakiegoś gabinetu. W środku już czekał jego teść. Wybitny obrońca uciśnionych. Na biurku masa papierów, druki, karteluszki, biurokratyczny bajzel.

– Wojtek, podpisz. Tu i tu – powiedział stary i nawet powieka mu przy tym nie drgnęła.

A przerażony Wojtuś w tamtej chwili był gotów złożyć krwawy cyrograf na prośbę samego Belzebuba. Byle do domu. Do Malinki, do Piotrusia. Zresztą i tak nic na niego nie mieli, musieli go wypuścić.

Upiekło mu się. Był pracownikiem drugiej ligi, zwykłym przedstawicielem medycznym, bez dostępu do informacji. Niewtajemniczonym. Poleciała cała góra. Jedni do paki, inni na zieloną trawkę z wilczymi biletami. System penitencjarny przygarnął także kilku współpracujących z korporacją lekarzy. W mediach wrzało. Minister sprawiedliwości, krakowski Batman, uchronił polskie Gotham City przed szajką przestępców w kitlach i wytworzonych garniturach. I złożył satysfakcjonujący raport niewielkiemu wzrostem, acz wielkiemu duchem szefowi. Od-

trąbiono sukces w walce z korupcją. Sukces rządu i chwiejącej się koalicji w przedśmiertnym pokazie siły.

Polski oddział, czyli firma-córka, zadrzał w posadach, jednak nie upadł, wsparty kapitałem zachodniej firmy-matki. Przeprowadzono audyt wewnętrzny, oddzielono ziarno od plew i na nowo zwarto szeregi. Interes znów mógł się kręcić. Powoli wszystko wracało do normy.

Choć już nic nie było takie samo.

Na korporacyjnych zawirowaniach można przegrać życie albo wygrać awans. Wojtek okazał się lojalny. Nawet jeśli czegoś się domyślał, wiedział, jakimi metodami wygrywa się publiczne przetargi, to nie sypnął, słowa nie pisał, pary z ust nie puścił. Takich pracowników się nagradza. Globalny zarząd docenił dwie noce spędzone w celi i w rewanżu zaprosił do elitarnego klubu menadżerów, dał przepustkę do lepszego świata, hermetycznego towarzystwa tych, co rządzą i wiedzą więcej. Do świata podwyżek, apanaży i bonusów, uścisków rąk i poklepywania po plecach, zagranicznych delegacji, służbowych kolacyjek zakrapianych Dom Pérignon i zakąszanych kawio-rem z białego.

Wojtek w końcu wkupił się w łaski teścia, zobaczył uznanie w oczach Maliny. Mogli sobie pozwolić nawet na francuską bonę do dziecka. Już nie był chłopakiem z Woli, który zrywał się co rano, by rozładować z ojcem dostawę pieczywa. Wreszcie został kimś!

Refleksje na temat tamtego zatrzymania nachodziły go rzadko. Podobno oportunizm jest nieodzownym elementem dojrzewania, bez niego w dzisiejszym świecie nie da się niczego osiągnąć. Wojtek wołał nie dostrzegać tego, co niewygodne. Tylko raz, mniej więcej rok po całej

aferze, wpadł podczas zakupów w hipermarkecie na byłego kolegę. Facet w sile wieku, a zupełnie siwy. Przygarbiony, wręcz skulony, zapadł się w sobie. W oczach miał osobliwą pustkę. Podobno przesiedział w areszcie pół roku, a teraz, już na wolności, czekał na ostateczny wyrok procesu. Prawnicy wynajęci przez korporację dawno położyli laskę na jego przypadek. A i on wyglądał, jakby było mu w tej chwili wszystko jedno, jaki werdykt zapadnie – i tak już przegrał. Przegrał dawne życie, które Wojtek dostał po nim w spadku.

Wtedy, w sklepowym tłumie, obaj udawali, że się nie poznają. Bo niby co mieliby sobie powiedzieć? Tamten może przestrzegałby Wojtkę przed machiną, która każdego kiedyś przemieli i wypluje. Na bruk, bez sentymentów. Nikt nie zna dnia ani godziny. A Wojtek? Jak brzmiałaby jego riposta? Przecież jemu się upiekło. Przetrwał i teraz był beneficjentem systemu. Mała rybka pożarła rekina. Na widok dawnego kolegi przez chwilę zrobiło mu się po prostu wstyd, po raz pierwszy i ostatni od pamiętnej wizyty panów w czerni.

Zresztą, facet szybko zginął w tłumie kupujących, a to efemeryczne uczucie, wejście w komitywę z własnym sumieniem, szczęśliwie gdzieś uleciało. Takich spraw lepiej nie rozpamiętywać i Wojtek postanowił być wierny tej dewizie. Nie miał czasu na moralne rozterki. Szczególnie kiedy zaproponowano mu wyjazd na kontrakt. Świat zamknął się w przestrzeni kilku teatralnych dekoracji: Warszawa, Hamburg i lotniska. Nie było miejsca na roztrząsanie tego, co dzieje się za kulisami, bo w tym przedstawieniu nikogo nie obchodziły prywatne dramaty aktorów.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24 c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 53 g/m² wol. 2,4.*

PaperlinX

Redaktor prowadzący *Joanna Wajs*
Opieka redakcyjna *Joanna Kończak*
Redakcja *Iwona Krynicka*
Korekta *Malwina Łozińska, Roma Sachnowska*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12628-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2014 r.

Wydanie pierwsze

Druk: EDICA Sp. z o.o., Poznań